



Styl Teatru i własne marzenia

KRYSZTOF MIKLASZEWSKI.

80 rok działalności krakowskiego Teatru imienia Juliusza Słowackiego otwiera drugi sezon pod dyrekcją Pani i Jerzego Krasowskiego. Sezon pierwszy bywa zawsze penetracją środowiska, próbą wrażliwości widza, sprawdzianem repertuarowo-programowych wariantów. Stąd pytanie dosyć generalne: jak w świetle doświadczeń ubiegłorocznych kształtuje się obraz rozpoczętego już sezonu?

KRYSZYNA SKUSZANKA:

Decyzja objęcia kierownictwa takiego teatru, jak Teatr Słowackiego równa się narzuceniu samemu sobie poważnych przedwstępnych zobowiązań. Jest to bowiem scena, a godzi się o tym przypomnieć właśnie w roku jubileuszowym, której siłę budowała zawsze potrzeba walki teatru o swe narodowe oblicze. A ponieważ z własnych dotychczasowych doświadczeń nie byłibyśmy skłonni (mówię to w imieniu własnym i Jerzego Krasowskiego) rezygnować, stoi przed nami niełatwe zadanie: pozostać sobą, nie tracąc nic z dobrej tradycji tego teatru.

K. M.:
O jakiej tradycji Pani myśli?

K. S.:
Myślę o tej naszej tradycji

romantycznej, którą podjęła potem Młoda Polska, a która i dzisiaj nie straciła inspirującej siły. Teatr imienia Słowackiego — to teatr, który programowo powinien grać i romantyków, i Wyspiańskiego. Dlatego przyjęliśmy zasadę podejmowania w każdym sezonie inscenizacji z tego repertuarowego kręgu.

K. M.:
W ubiegłym sezonie takim przedstawieniem była rekonstrukcja „Wesela”.

K. S.:
...raczej próba powtórzenia premierowego przedstawienia, próba dojścia do tego „jak było w 1901”... A wszystko po to, żeby przypomnieć naszemu społeczeństwu, które tradycję zanadto nie kocha (Polacy w ogóle nie za bardzo grzeszą „pamięcią”), że sztuka, która zrodziła się 70 lat temu jest wciąż żywym źródłem inspiracji dla teatru współczesnego. Było też naszą cichą nadzieją zwrócenie uwagi na te elementy znaczeniowe „Wesela”, które zagubione były w kolejnych „odczytaniach” tego bogatego dramatu.

K. M.:
Nadzieja — powiedzmy otwarcie — częściowo tylko zrealizowana, bowiem aktorzy — świadomie — grając nie do tej publiczności, która jest na sali, wzbudzić potrafili tylko jej cie-

kawość na zasadzie historycznego hobby.

K. S.:
Pewne rzeczy są nieodwracalne.

K. M.:
„Wesele” weszło na deski Teatru im. Juliusza Słowackiego już w pełni ubiegłorocznego sezonu. Zaczynała Pani od Brylla. Dlaczego?

K. S.:
Prapremiera sceniczna „Zycia jawą” — tak brzmiał pierwotny tytuł „Co się komu śni” — była cennym doświadczeniem zarówno dla mnie, jak i całego Teatru. Bryll bowiem budując swój tekst w dużym stopniu na literackich cytatach i kulturowych odwołaniach i eksponując równocześnie charakterystyczny dla polskiego bohatera sposób myślenia i obrazowania, zmusił nas do szukania scenicznych ekwiwalentów dla tych obciążonych tradycją znaków. Jednym słowem moralitet Brylla, napisany podobnie jak „Rzecz listopadowa”, w duchu naszej romantyczno-barokowej tradycji, stał się okazją nawiązania do tak ukkształtowanej historycznie linii teatralnego myślenia.

K. M.:
Drugą Pani premierą była „Wasantasena”. Ten dramatyczny tekst domniemanego autorstwa króla Siudraki, tekst należący do wielkiego kanonu literatury starohinduskiej, po-

wtórzyła Pani po wrocławskiej prapremierze roku 1971. Przypadek to, czy prawdziwa fascynacja?

K. S.:
Fascynacja... Człowiek bywa tak zmęczony współczesnym teatrem, jego manierami i modami, że bardzo chętnie ucieka w przeszłość. Zawsze, kiedy udaje mi się „powrócić” do starego, ludowego teatru, mięsam uczucie, iż zanurzam się w czystym potoku. A właśnie „Wasantasena” to taki przykład „teatru superteatralnego”, który zakładając ściśle z widzem porozumienie potrafi nie tylko likwidować barierę rampy, ale i budować klimat zaufania pomiędzy aktorem i widzem.

K. M.:
Ukraszona ironią przeniesionej konwencji, ale i hieratyczna i dostojna poezja „Wasantaseny” przywołuje na pamięć czyste, klarowne konstrukcje Pani inscenizacji szekspirowskich. Bezpieczny sen Brylla, obudowany ściśle przez Panią konwencją staropolskiego moralitetu pamiętać każę o wiele bardziej przewrotny strukturalnie „Zycia snem” Calderona. Jest wreszcie w Pani scenicznej twórczości wiele sztuk patrona krakowskiego Teatru.

K. S.:
Tak. Istnieje w mojej scenicznej drodze pewien charakterystyczny krąg: Szekspir — Słowacki — Calderon — i

znów Szekspir — Słowacki. Chodzę stale ich śladami, nie mogę uciec od fascynacji światem myśli i poezji tych właśnie autorów. Szukałam i szukam odpowiedzi w kolejnych przedstawieniach, począwszy od Nowej Huty poprzez Warszawę i Wrocław. Po doświadczeniach na przykład z „Jak wam się podoba” sięgnęłam do „Zycia snem”, „Zycie snem” spróbowałam sprawdzić w „Fantazym”, aby wrócić następnie do „Burzy”. Powracałam zresztą do tych arcydzieł kilkakrotnie, za każdym razem odnajdując nowe dla siebie treści. I tak na przykład „Burzę” realizowałam aż pięciokrotnie, a Słowackiego „Sen srebrny Salomei” — trzykrotnie.

K. M.:
Stoi Pani obecnie przed premierą „Lilli Wenedy”, nad którą podjęła Pani pracę przecież po raz pierwszy. Co o tym zażydecydowało?

K. S.:
Oczywiście zaufanie do samego poety i ochota teatralnego przewartościowania utworu: „Lilla Weneda” ma u nas tradycję inscenizacji w duchu wagnerowskiej opery, tradycję daleką od mojego osobliwego rozumienia tego dramatu. Z dużym lekkim podeśladem do realizacji „Lilli Wenedy”; zbierałam się do tej inscenizacji właśnie od lat, ale dopiero teraz wreszcie się odważyłam.

K. M.:
O kim będzie to przedstawienie? Kto ma być jego głównym bohaterem?

K. S.:
Powiem krótko: ma to być przedstawienie o nas, o Polakach.

K. M.:
Zapraszam więc się w imieniu własnym i Czytelników na premierę w sobotę, 17 listopada.

Rozmawiał:
KRYSZTOF MIKLASZEWSKI